



Świadectwo bpa J. Wertha

14 kwietnia 2012, w przeddzień ogłoszenia kościoła parafialnego diecezjalnym Sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Wieczorem tego dnia w naszym Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa odbyło się nabożeństwo z modlitwą za wszystkich cierpiących w czasach totalitaryzmu, o miłosierdzie

Boże dla nich. Fragmenty świadectwa biskupa Józefa Wertha z Nowosybirsk, wygłoszonego podczas tej modlitwy.

Drodzy!

Kilka miesięcy temu zatelefonował do mnie o. Zbigniew i poprosił, abym dał świadectwo o zachowaniu wiary na kazachstańskiej ziemi w czasach represji i prześladowania Kościoła.

Dzisiaj rano po raz pierwszy zobaczyłem Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, zbudowany i konsekrowany ponad 100 lat temu. Myślę, że ten kościół – to najlepszy świadek naszej wiary.

Drodzy, ja już nieraz bywałem przejazdem w waszym mieście, ale pierwszy raz teraz wysiadłem z pociągu. Z Pietropawłowskiem łączy mnie rodzinne więzy. Kuzyn mojego ojca, Johannes Ritter mieszkał w waszym okręgu, w jakimś sowchozie w rejonie Bułajewskim. Pisał do nas listy, często przyjeżdżał do nas do Karagandy na Mszę św. i spowiedź. Umiał pisać i opowiadać bardzo interesująco. Potem, kiedy uczyłem się w seminarium duchownym na Litwie, poprosiłem go, aby zapisał swoje wspomnienia. Przed przyjazdem do was nie zdążyłem znaleźć tego zeszytu, ale potem postaram się go przekazać waszym kapłanom.

Mogę przypomnieć i zaświadczyć o tym, co słyszałem od innych albo w czym sam bezpośrednio uczestniczyłem. I, oczywiście, to wszystko, co przeżyłem jest świadectwem o Bożym Miłosierdziu. Kilka lat temu pewna starsza wierząca kobieta z rejonu Nowosybirsk opowiadając o trudnych doświadczeniach życia wielokrotnie powtarzała: „Jeśli miły Bóg by nas nie obronił, to byśmy wszyscy zginęli”. „Miły” od słowa miłosierny.

W jednym z ostatnich numerów waszej kazachstańskiej gazety „Credo” ja już przedstawiłem opowiadanie o tym, jak moi rodzice znaleźli się w Kazachstanie, ale jeszcze raz powtórzę, dlatego że z pewnością to jedno z najmocniejszych świadectw wiary w XX wieku. W 1931 roku na step centralnego Kazachstanu zesłano 30000 Niemców z Powołża. Wśród nich był i mój ojciec, który wtedy miał siedem lat. Wyładowali ich z bydłowych wagonów i zostawili pod odkrytym niebem na pastwę losu. Nad Wołgą, na ojcowiznie, zabrali im domy, ziemię, gospodarkę, żeby z tego co „zagrabili” zorganizować kolchozy, czyli „fundament świetlanej przyszłości komunistycznego społeczeństwa”. Natomiast ich, kułaków, jako przeszkodę do tego, partia postanowiła zniszczyć raz na zawsze. Była jesień, zaczął sypać pierwszy śnieg. Ludzie zakopywali się pod ziemię, ryli jamy, na wierzch kładli gałęzie, potem glinę i ziemię. Kiedy zima się zakończyła z 30000 ludzi zostało tylko 12000.

I właśnie wtedy, kiedy ich wyrzucili z wagonów na pusty step, swoje nowe życie na wygnaniu zaczęli od modlitwy. Jeden ze starszych ludzi, zwrócił się do pozostałych i powiedział: „Bracia i siostry, jeśli w czasie pomyślności dziękowaliśmy Bogu, nie zapomnimy zrobić tego i w momentach trudnych”. Powiedziawszy to, zaczął śpiewać: „Te Deum laudamus” - „Ciebie Boga wysławiamy”.

Taki duch wiary pierwszych wygnańców przetrwał i później. Od momentu jak sięgam pamięcią, od dzieciństwa całe nasze życie było przeniknięte chrześcijańską wiarą i modlitwą. Rano mama każdego z nas indywidualnie „stawiała” do modlitwy, dlatego, że my-dzieci wstawaliśmy w różnym czasie, bo różnie chodziliśmy do szkoły, jeden na pierwszą zmianę, drugi na drugą, a niektórzy jeszcze nie chodzili. A wieczorem była zawsze wspólna modlitwa.

W każdą niedzielę chodziliśmy do „kościola”. Poczynając z 1954 roku katolicy w Karagandzie mieli już swoich księży (o. Władysław Bukowiński, biskup Aleksander Hira, o. Schtaub, o. Stefan).

Pamiętam dobrze takie ciekawe wydarzenie. Mama zbierała się na Msze świętą i najmniejsza z dziewczynek zaczęła kaprysić: „Mamo, ja też chcę na Mszę!” A mama ją uspokajała: „Ty pójdziesz na trzecią Mszę”(do II Soboru Watykańskiego każdy kapłan celebrował oddzielnie, nie było koncelebry, dlatego, ile było kapłanów, tyle było i Mszy). I mała się wtedy uspokoiła: „Dobrze, pójde na trzecią Mszę”. Na domach tych rodzin, gdzie celebrowano Msze święte trzeba by dzisiaj powiesić płyty pamiątkowe. Ale u Pana oni na pewno otrzymają nagrodę w wieczności.

Szczególnie zapamiętałem pogrzeby i inne modlitewne procesje na cmentarzu. Modlitwy wtedy trwały wiele godzin. Pewnego razu przed Wniebowzięciem wierni zebrali się jak zwykle na kraju naszego osiedla (potocznie nazywanego „mały Berlin”), aby rozpocząć procesję. W odległości stu kroków drogę zagroziła nam milicja. Jedna z odważnych kobiet, Marianna Bekker wzięła krzyż od chłopców (oni zazwyczaj nieśli go w procesji) i powiedziała „In namen Gottes!” (W imię Boże) i śmiało poszła naprzeciw milicjantów. Oni się rozstąpili i procesja poszła jak zwykle.

Uroczystość Miłosierdzia Bożego została w Kościele ustanowiona niedawno, ale mogę zaświadczyć, że koronka do Miłosierdzia Bożego była jednym z wielu odmawianych przez nas tzw. małych różańców (najbardziej przez nas ulubionym był najkrótszy „O Maria hilf!” „Maryjo, pomóż!”). Jeszcze teraz przed wyjazdem do was zapytałem s. Marię F., i ona potwierdziła, że myśmy odmawiali tę modlitwę już na początku lat sześćdziesiątych. Teraz mamy już to, na co czekały pokolenia...

(Ks. Biskup opowiadał też, jak chodził do spowiedzi do ks. Bukowińskiego, który zazwyczaj służył nocą, szczególnie troszczył się o młodzież, a dla chłopców nocne wyprawy do spowiedzi były jeszcze dodatkową przygodą).